

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pisemem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. step. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Tygmunta Haczkowskiego.

IX.

(Ciąg dalszy).

Dnia tego, na którym wypadkami stoimy, daleko większy ruch był w jeneralskim dworze i na jego dziedzińcu, niżeli we wszystkie dnie inne, była to bowiem niedziela. W niedzielę zwykły był jenerał od samego świtu stać w ganku i dawać posłuchanie wszystkim swoim oficyalistom, rzemieślnikom i sługom, po posłuchaniu odbierał ustne i pisemne raporta, wypytywał o szczegóły fabryk i gospodarstwa z całego tygodnia i wydawał rozkazy, przez cały czas ten sam stojąc na nogach w lekkiej tylko furazerce na głowie i trzymając wszystkich bez czapek przed sobą, bez względu na wiek swój własny i sług niektórych siwiznę, bez względu na to, że to posłuchanie trwało zawsze kilka godzin bez przerwy i nawet bez względu na zimno i mrozy trzaskające. Potem jechał zawsze na mszę do kościoła o pół mili oddalonego od dworu i zabierał ze sobą kobiety, nie przyjmując żadnej wymówki; powróciwszy z kościoła zastawał stół już nakryty, razem z jego wejściem do sali jadalnej stawiano wagę na stole. Po obiedzie zasiadał jenerał wraz z siostrą i córką w salonie położonym na północ, którego nazywano zielonym, albo na owej wystawie wiszącej nad skalistą przepaścią i dającej przepyszny widok na podnóża Karpackie i część równin Halickich. Tam odprowadzał on poczęści popołudniową siestę, w części używał piękności dalekiego i nigdy od razu okiem nieobojętnego widoku, albo słuchał rozmowy kobiet i czasem się tylko bawił, czasem zaś srodze gorszył pustem ich szczebiotaniem. Po godzinie takiego spoczynku wracał do swojej kancelaryi, która była zarazem sypialnią, i albo plany architektoniczne układał, albo zajmował się matematyką, ulubioną swoją nauką, albo czytał jakieś księgi poważne, traktujące historię albo politykę, strategię albo ekonomię polityczną. Wieczorem po herbacie kazał córce czytywać gazety, w braku gazet lub w braku zajmującej w nich treści słuchał czytanych przez nią romansów, poezji lub innych jakich nienaukowych utworów, lecz nigdy nie dosłuchał do końca i ręką machnąwszy, na nocny spoczynek odchodził. Tak mu zawsze upływała niedziela, tak mniej więcej i wszystkie dnie inne.

Teraz już słońce się schowało za lasy i mrok szary pomału osiadał. Obydwie kobiety siedziały jeszcze na wystawie i odzuwały wspomnienia stolicy, za którą usychała już prawie marszałkowa, a która dla Adeli żadnego nie miała powabu. — Jenerał zaś, powstawszy od bióra, w tył ręce założył i krzyżował potężnymi krokami sypialnię, pocierając się czasem ręką prawą po czole i myśląc. A wtem dało się słyszeć u drzwi siennych dzwonięcie a potem następująca rozmowa:

— Proszę was, czy jest pan w domu? — pytał głos męski, lecz dziwnie nieśmiały i młody.

— Jest pan jenerał, a czegoż pan żąda? — odpowiedział głos stary, w którym jenerał, stanawszy niedaleko odedrzwi, rozpoznał z łatwością głos swego kamerdynera.

— Tu mieszka jenerał!... — powtórzył cicho i drżąc głos młody i umilkł.

— Czegoż pan żąda? — powtórzył jeszcze raz kamerdyner.

— Chciał-bym się widzieć z panem... czy można?

— A można, — odpowiedział znów sługa, — drzwi niezamknięte, boć dzisiaj niedziela... ale to trzeba było rano przychodzić, bo pan jenerał nie lubi kłopotać sobie głowę jeszcze i wieczorem. Nie dosyć to tego od świtu aż do samego południa?...

I tak gderając, otworzył drzwi, a Kamil się wsunął powoli do jeneralskiej sypialni. Na samym wstępie już w nieznanie sobie obejście i w tak krytycznem położeniu, był ten młodzieniec dziwnie jakoś rozstrojony i na pół nieprzytomny; lecz kiedy, wpuszczony z niechęcią i z łaski sługi, do wysokiej i bogato urządzonej komnaty, ujrzał nagle przed sobą kolosalną postać osiwiałego wodza, ściemniło mu się całkiem w oczach i w głowie, i stanawszy tuż przy drzwiach, zaledwie zdobył się na to, że się nisko i z wielką pokorą uklonił. Tymczasem jenerał, zmierzyszy go okiem, przystąpił o dwa kroki do niego i wpatrzywszy mu się w oczy, zwyczajnym swoim surowym, przeszywającym głosem zapytał:

— Czego aspan żadasz odemnie?

— Schronienia, — wybąknął Kamil pół-głosem, drżąc cały i prawie na wpół umarły.

— Schronienia? — powtórzył jenerał, odsuwając się w tył od niego, i dodał: — któż aspan jesteś?

— Nazywam się Kamil, — odpowiedział patrząc ciągle w ziemię przestraszony młodzieniec.

— Kamil! a jakże więcej? — zawołał z niecierpliwością pan domu.

— I... nie więcej, — odpowiedział truchlejąc już całkowicie Kamil, bo mu się zdawało, że zamiast schronienia znalazł oczewistą zagubę.

Na tę odpowiedź jenerał się zamyślił przez chwilę, jeszcze raz zmierzył okiem młodzieńca i szyderskim głosem zawołał:

— Lubię was, lubię, moi moiści panowie!

Potem zaczął prędkim i gwałtownym krokiem chodzić po izbie i sapiąc, zdawał się toczyć jakąś walkę z swojemi myślami. Widząc to Kamil, stał nieruchomie przy drzwiach i drżał jak listek na drzewie; — było mu bardzo źle przedtem, kiedy samotny, z strasznemi myślami, bez jutra, bez chleba kawalka, siedział w puszczy lesistej, lecz był-by parę lat życia oddał za to, gdyby go kto w tej chwili nazad tam był przerzucił. I dziwne myśli mu się zaczęły przeważać w głowie... A w tem Adelka, chcąc dać znać ojcu, że herbata gotowa, wpadła prędkim krokiem do tego pokoju, lecz obaczywszy Kamila, przestraszyła się nagle, zatrzymała się koło progu i krzyknawszy przeraźliwie: Ach! — na powrót do ciotki uciekła.

I jeżeli jej przestрах był wielkim, to zapewne jeszcze większym był przestрах Kamila, wszakże przeraził on go w takiej chwili, kiedy już mu było niepodobieństwem jeszcze się więcej przestraszyć, — wzdrygnął się więc tylko, jak gdy-by w jego oczach śród ciemnej nocy nagle błyskawica przeleciała po niebie i oparł się bezprzytomnie o ścianę.

Na krzyk córki jenerał rzucił okiem w tamtą stronę i stanął, poczem przeszedłszy się jeszcze parę razy po izbie przystąpił znów do Kamila, i spokojniejszym cokolwiek już głosem rzekł do niego:

— Aspan żadasz schronienia odemnie... nie wiesz sam, w jakie przez to stawiasz mnie położenie... lecz chociażbym ci miał dać to schronienie, toż zawsze jeszcze dałbym go nie mógł, nie wiedząc komu go daję?

Lecz Kamil jeszcze nie mógł powrócić do przytomności i milczał.

— Milczysz? — spytał znowu jenerał, — drzysz czegoś, boisz się pewnie. Już ciż tu nie masz się czego obawiać.

— Od wczoraj nie w ustach nie miałem, — wybąknął przecie nakoniec Kamil, zdobywając się na najlepszą, na jaką się mógł zdobyć, odpowiedź. Najlepszą i najskuteczniejszą, bo jenerał w tej chwili się odwrócił od niego, i sam poszedł na herbatę do kobiet, ale natychmiast przysłał Kamilowi pełną tacę żywności.

Położenie tego młodzieńca w tej chwili było dziwnie krytyczne, lecz jeszcze dziwniej skomplikowane. Bo pod-

czas kiedy po mękach piekielnych mógł choć na chwilę teraz swobodniej odetchnąć, naciskała mu się gwałtem myśl o całej jego przyszłości, która się niebawem miała rozstrzygnąć, głód rozpędzał myśl wszelką i ciągnął go do jadła, a z głodem jeszcze walczył obraz tak niespodziewanie zdybanej kochanki. To wszystko trzeba było sprawić w ład jakiś i odprawić po kolei, bo każde z nich domagało się uporczywie posłuchania. I każdego człowieka wytrawny był-by zapewne pomalu zadosyć uczynił wszystkiemu. Więc był-by najpierw odetchnął swobodnie, i starał się wrócić do jakiejś zupełniejszej trzeźwości umysłu, potem był-by się należycie zadziwił nad tem szczególniejszem zdybaniem się z Dziwo-żoną, a potem posilając się z wolna był-by sobie ułożył porządek w głowie, co i jak ma opowiedzieć o sobie jenerałowi, — ale bodaj-to być młodym na świecie! Młodzi niewiele myślą, najczęściej nawet nie umieją myśleć porządnie, lecz jak przyjdzie do czynu, spełnią go prędko i częstokroć daleko lepiej, niżeli tamci, którzy długo nad nim myśleli. Bo taki jest przywilej młodości, — a Kamil był młodym, i jeszcze miał ten przywilej. Więc zamiast wszystkiego innego, rzucił się przedewszystkiem do jadła, i powiedział sobie: *voilà la galère!* niech się dzieje, co chce! — o niczem zgoła nie myślał.

Tymczasem przy herbacie w salonie Adelka była wcale nie podobną do siebie, ona zapewne także o niczem nie myślała, ale tak była roztargniona, tak nieprzytomna, że porozlewała herbatę po stole, zamiast sucharek łyżeczkę do ust włożyła, a do poziomek nalala sobie octu i oliwy. Innym razem był-by ojciec dostrzegł to niezawodnie, lecz dzisiaj i on jakoś był nie bardzo przytomny, i nie zwracał na to uwagi, co się działo około niego. Pani marszałkowa tylko, która pomimo ustawicznego szczebiotania widziała zawsze wszystko, co się gdzie działo, dojrzała tego roztargnienia Adelki, ale przypisując je jakiejś scenie z dopiero co czytanego romansu, śmiała się tylko, wołając co chwila:

— Ah! que vous êtes reveuse! ma chère! que vous êtes distraite! n'allez pas mettre encore du poivre dans vos fraises!

Po herbacie jenerał powrócił do Kamila, a zastawszy go już ocierającego usta serwetą, zawezwał go powtórnie do wypowiedzania się przed nim, kim jest w istocie i jakie właściwie wypadki są przyczyną jego teraźniejszego położenia?

I Kamil opowiedział wszystko od początku do końca, jak było prawdą.

Wysłuchawszy go spokojnie jenerał, dał mu jeszcze kilka szczegółowych zapytań, a odebrawszy zaspokajającą, jasną i zrozumiałą odpowiedź, taką mu dał rezolucję:

— Żeś aspan niestęchanie lekkomyślnie sobie w szkołach postąpił, na to nie masz wątplenia. Rodzice wasi nie na to posyłają was do szkół, ażebyście się tam do kontrolowania waszych przełożonych lub zgoła do sprzeci-

wiania się im zaprawiali, ale na to, ażebyście umiejętno-
ści nabyli i stali się ludźmi usposobionymi do czegoś. Pie-
kne-by mi to były szkoły, w których-by młodzież nie u-
czyła się przedewszystkiem posłuszeństwa i uległości. Wiesz
aspan? jeden tylko jest rodzaj ludzi całkiem do niczego
na świecie: a to są ci, którzy ani rozkazywać nie zdolni,
ani słuchać nie umieją. Bo tylko na dwie części dzielią
się ludzie na świecie: na tych, którzy rozkazy wydają, i
na tych, którzy je wypełniają. Więc do jednej z tych
części trzeba należeć koniecznie. A nim kto przyjdzie do
tego, żeby umiał i mógł wydawać rozkazy, musi się pier-
wej nauczyć ich słuchać. Gdzież się tedy tego nauczyć,
jeżeli nie w szkołach?.. A zresztą każda władza powinna
być święta. Żaden przełożony nie ma obowiązku zdawa-
nia rachunku ze swojego postępowania przed podwładnymi,
a tem mniej cierpieć jakikolwiek opór z ich strony.
I aspan, gdybyś był przełożonym, tego-byś nie ścierpiał.
Takiego też obyczaju nie ma nigdzie na świecie, a jeżeli
gdzie był kiedykolwiek, to nie był ładem ani porządkiem,
tylko swawolą i anarchią, — i pewnie nie utrzymał się
długo. Bo kiedy każdy przełożony ma znów przełożonych
nad sobą i przed nimi zdaje rachunki i zda jeszcze prócz
tego rachunek przed Bogiem, to zresztą powinien mieć
posłuch bez względu — i basta! — Ale ja ci się nie
dziwuję... żak jesteś, a żakom zawsze zielono w głowie.
Do tego jeszcze nie brak i na sedukcyi w tych czasach.
Ludzie ci ciężko kiedyś za to odpowiedzą przed Bogiem;
bo czy może być cięższa zbrodnia na świecie, jak bała-
mucić głowy młodzieży, zachwiać w nich najgłówniejsze
warunki pożyteczności ich życia, i sprowadzić ich do stanu
takiego, w którym nawet psu na budę się przydać nie
mogą! Bo do czego, pytam się, aspan teraz komu zdać się
możesz? Zawód naukowy skończony, niedostateczność nau-
ki ażebyś mógł kogoś nauczać, niezdolność do pracy fizy-
cznej, pogarda zapewne dla wszystkich takich zatrudnień,
które trzymają człowieka na dole, a przytem pewnie je-
szcze i zarozumiałości doza potężna, — i cóż-to z tego
być może? A szkoda! bo widzę w tobie głowę dość ja-
sną, musisz mieć pewnie i inne zdolności, — więc kto wie,
do czego-byś był mógł doprowadzić, gdybyś był poszedł
nakazany porządkiem, pilnował tylko tego, co było twym
obowiązkiem i zawód ukończył? Świat dzisiaj dla mło-
dzieży otwarty; ale praca i posłuszeństwo! bo tem tylko
się można czegoś dorobić. Ale jeżeli-bym ja tobie miał
dać dobrą radę, to-był-bym zdania, że najlepiej by było
po prostu zameldować się nazad do akademii, zasłużoną
pokutę odprawić, która dla żałujących za grzechy zawsze
jest względna, — a potem nazad do szkół powrócić. Je-
dyny sposób naprostowania wszystkiego, co się tak lekko-
myślnie skrzywiło.

Tak mówił generał. Kamil go słuchał z wszelką mo-
żliwą uwagą i już nieraz podczas jego perory mrówie go

przechodziło, bo nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy zdy-
bywać się z tak bardzo w szkole życia wytrawionemi mę-
żami i z zasadami, które stamtąd wynieśli, — lecz kiedy
usłyszał tej perory konkluzję i to, co nosiło tam imię do-
brej rady, zatrząsł się cały w swem wnętrzu, i znowu mu
się przed oczyma ściemniło. I milczał. Ale generał, za-
czerpnawszy oddechu, tak mówił dalej:

— Tak, taka jest moja rada... i ręczę za to, że jest
najlepsza, bo ją zdrowy rozum i doświadczenie dyktuje.
Ale...nie myśl przeto, ażebyś ci ją chciał koniecznie na-
rzucić... nie mam do tego żadnej pretensyi, i nie na tem
mi nie zależy.... masz zresztą ojca nie daleko, możecie
się widzieć ze sobą i możesz się z nim o tem obradzić....
a tymczasem.... nie odmawiam gościnności w mym domu...
nie odmawiam jej nigdy.... (to mówiąc, stał generał przy
oknie i patrzył przez szyby w dziedziniec,) znajdowali na-
wet gorsi u mnie schronienie... i więcej jeszcze.... chociaż
tego nie byli warci... psy na mnie za to potem wieszali...
pisywali paszkwile.... wystawiali mnie jako wroga własne-
go kraju i nieprzyjaciela własnego rodu.... oni są przyja-
ciółmi!.... łajdaki!.....

Lecz zerwał się prędko od okna, jak gdyby sam się
na siebie rozgniewał, że się dał porwać swoim uczuciom,
i na kamerdynera zadzwonił.

— Pokoik niebieski, przy schodkach na skalę, — rzekł
on do sługi roskazującym tonem, — ten, w którym stała
guwernantka przeszłego roku, wyporządzić, dać pościel i
wszystko, co trzeba, odstawić chłopca do usługi i tego pa-
na zakwaterować tam na noc. (C. d. n.)

PIĘĆ WIELKICH NOCY.

Z poczyj Anastazego Grūna,
przełożył Władysław Zawadzki.

II.

Była wielkanoc. — Na oliwnej górze
Stał Jezus Chrystus, a góry podnóże
Było jak przedtem blade i milczące,
Choc ją wiosniane ogrzewało słońce.

Kiedy z jaskółczem gniazdem spłonie chata,
Smutna jaskółka do gruzów przylata,
Do znanych sobie resztek ścian się czepia,
I nowe gniazdo wśród zgłiszczów ulepia.

Tak człowiek znowu wrócił w te pustynie,
I zaczął domy stawiać na ruinie,
Pomału znosił kamienie i cegły,
Aż mur się podniósł, i gmachy wybiegły.

A jako wietrzyk zanoszą wiosniane
Pył drzew i kwiatów na mur potrzaskany,
Aż się mur stary po niejednej wiosnie
Mechami osklepi i krzewy porośnie:

Tak tutaj człowiek rękami własnymi
Przyniósł garść obcej ogrodowej ziemi,

I trochę wiosny zasiał na ruinie,
W tej wynędzniałej i pustej krainie.

Wynijdz na smętarz, pomiędzy grobami,
Gdziekolwiek stąpisz, lub zwrócisz myślami,
Wiecznie do jednej smutnej myśli wrócisz,
Żeś z prochu powstał i w proch się obrócisz.

O! miasto nowe! poglądni z żałobą,
Na gruzy w koło, na groby pod tobą,
I uchyl czoła, i zawołaj w skrusze:
Jam z gruzów wstało i w gruz upaść muszę.

Póżne przestrogi! Wyokie wieżycy
Chórem zabrzmiąły, grznią wszystkie dzwonnice,
Niem tam skruchy, musi być wesele,
Gdzie takie huczne wciąż grają kapele.

W koło szarego, gotyckiego tłuma
Pełno zebrało się zbrojnego tłumu,
Po ciemnych gankach, wysokich kaplicach
Snują się męże w hełmach i zbroicach.

Włócznie po bruku brzęczą marmurowym,
A przed kościołem w porządku bojowym
Parskają konie, stoją zbrojni męże,
Wieżą sztandary, błyszczą się oręża.

Czy oni wojnę toczą z własnym Bogiem,
Że zbrojno stoją przed świątyni progiem?
Czy z samem niebem chcą zaczynać boje,
Że tak oblegli kościelne podwoje?

Lecz nie! — Słuchajcie! organy zagrały,
I na kolana pada orszak cały,
Modlą się w skrusze, pochylił głowy,
I w pierś się biją o pancerz stalowy.

Krzyż Chrystusowy na szczycie świątyni
Jaśnieje w słońcu z najwyższej wieżycy,
I cała rzesza na pierś go włożyła;
Oby i pierś ta, domem Bożym była!

Krzyż pański widać w barwie rozmaitej,
Na każdym płaszczu rycerskim wyszyty;
I wszystkie płaszcze są niby sztandary,
Kornie chylące się przed słońcem wiary.

Sto świec jaśnieje, msza święta się prawi,
Krew, ciało pańskie kapłan błogosławi.
A dłoń kapłańska zda się krwią pąsową,
Ale nie była to krew Chrystusowa.

Gdy w piersi bił się szeptając pacierze,
Pod ornatami zachrząsały pancerze,
A kiedy w końcu miał brać kadzielnicę,
To jakby chwycił bojową szablę.

Na przedzie, wsparty o ławę ozdobną,
Kłęczy mąż jeden, pobożnie, osobno;
Widać z postawy, choć schylon ku ziemi,
Że on na czele między szlachetnemi.

I jest duch jego jak dęby wyniosłe,
W głębi ojezystych jego puszcz wyrosłe,
Co dumne, kornie chylą wierchołkami,
Gdy Bóg przemówi burzą i gromami.

(D. c. n.)

Elekcja Michała Korybuta.

(Ciąg dalszy).

Zagadywali to tem to owem statysci i ludzie rozumni,
którzy po woli swojej chcieli kierować tłumami szlachty.
To dawali posłuchanie posłom od wojsk koronnych i litew-
skich, to prawili o potrzebie naprawy Kamieńca, to cudzo-
ziemskich posłów chcieli wprowadzać. Ale Pękosławski,
szlachcic sercem i duszą, zawsze wracał na swój temat i
przestrzegał w kole sejmujących. Nie chciał do żadnego de-
kretu wprzód przystąpić, aż będzie postanowione i ogło-
szone wyłączenie Kondeusza, a Fredro i inni przyjaciele
wolności szlacheckich domawiali się, żeby za jednym za-
chodem potrzeba wyłączyć od korony księcia lotaryńskiego
i neuburgskiego, jako chrzczonych w jednej wodzie i w
jednym kościele. I podkomorzy kał. wołał, że przedewszy-
stkiem trzeba leczyć zbolale rany Rzplitej, a potem już my-
śleć o exorbitancjach, posłuchaniach i Kamieńcu.

Starosta spiski podnosił łaskę w kole rycerskiem za sła-
bego Połockiego, kiedy to nieukontentowanie szlachty doj-
rzało. Zażądano po prymasie kategorycznego oświadczenia
się przeciw Kondeuszowi. Prażmowski zwłóczył dowodząc,
że ma głos wolny, że kogo zechce, może podać
za pana, że przed elekcją wyłączony nikt być nie
powinien i t. d., a wreszcie zapewniał, że tego królem
ogłosi, na którego zgodzą się wszystkie życzenia i głosy.
Ale to nie zaspokoiło, szlachta krzyczała, biskup krak.
mówił jeszcze w duchu księcia prymasa, i dopiero Wierzbow-
ski pierwszy biskup poznański, odwoławszy się do przysięgi
wyrzekł stanowczo: „nie chcę Kondeusza.” Toż Jabłonow-
ski wojewoda Ruski jakał się i zacinał, tak mu to było nie
do smaku i narzekał, że wolność głosu traci, ale nie po-
zwolono mu nawet tłumaczyć się, i okrzyknięty srodze, wy-
łączył jak inni Kondeusza, bo szlachta koło szopy każde-
mu panu, który z nią trzymał, dziękowała, a żądania każ-
dego, myślącego inaczej, przyjmowała z takim gniewem i
hukiem, że ustąpić zawsze musiał. Został się tylko kanc-
lerz i prymas, którzy zwłóczyli; hetman Sobieski prawil
więc szlachcie perory, żeby odtąd lepszą miłość chowała
dla senatorów i groził, że inaczej nie przyjdzie nigdy na
pole elekcyjne. Odpowiedzią mu były nowe krzyki prze-
ciw prymasowi, któremi strwożony Prażmowski ustąpić
wreszcie musiał woli powszechnej i wyłączył Kondeusza.

Postawiwszy na swoim szlachta, dawała posłuchanie
na polu zagranicznym posłannikom. Pierwszeństwo zawsze
miał nuncjusz; tym razem piastował tę godność Galeas
Marescotti. Senatorowie na ten obrzęd według zwyczaju

wyszli z szopy i zasiędlili w kole rycerskiem; każdy prowadził z sobą nadworne chorągwie węgierskie, dragoni-
skie, rajtarskie i pancerne. Siemionów miał hetman Sobie-
ski i książę podkanclerzy Radziwiłł, tak że było aż 90
wszystkich chorągwi, które się rozstawiły od samego oko-
pu z obu stron i w kilka szeregów aż do samego miasta.
Od senatu trzech senatorów, a między nimi dwaj biskupi,
kujawski i warmiński, z koła rycerskiego sześciu, po dwóch
z każdej prowincji spotykało nuncjusza, który jechał wśród
wielu strojnych kalwakat senatorskich; w bramie witali
go hetman Sobieski z marszałkiem poselskim i dwaj pie-
czętarze. Legat prześlizgnie mówił po łacinie, zalecając tyl-
ko zgodę i elekcję katolika.

Jeden tylko poseł cesarski miał przed Zielonemi Świąt-
kami posłuchanie u stanów zaraz drugiego dnia po Mares-
kottim. Był to hrabia Szawgocz; sam strojny i urody na-
dobnej przyjechał też w świetnym i gromadnym orszaku
ledwie nad zachodem słońca dla sporów etykietałnych, bo
nuncjusz i poseł francuski żądali, żeby ich karety miały
pierwszeństwo przed karetą marszałka kor., w której dele-
gaci Rzeczypospolitej siedzieli. Francuz do takiego stopnia
rozniewał się, za nieuszanowanie majestatu Ludwika XIV,
że udał chorobę i niechciał potem odbywać poselstwa.
Rzplita nie była w zupełnej zgodzie i z p. hrabią cesar-
skim, który przywiozł wprawdzie i oddał listy senatowi,
ale tylko że je przyjęto, bo cesarz nie dawał w nich tytu-
łu najjaśniejszej Rzplitej. Szawgocz oświadczał się za księ-
ciem neuburskim.

Szlachta czekała jednakże na Francuza i nawet na święto
nie uważała, zgromadziwszy się li dla niego w poniedziałek
Zielonych Świątek pod Wolą (10 czerwca). Rozgnie-
wany wyłączeniem Kondeusza, nie stanął, a Rzplita posta-
nowiła, zapobiegając przyszłym zawiąskaniom, zanieść mani-
fest, że poseł sam dobrowolnie zrzekł się posłuchania. Nie
dla zachowania czczonego pozoru zdobywała się Rzplita na
ten krok w istocie zadziwiający, a nawet po części ubli-
żający majestatowi szlachty, bo co było w to wchodzić
Rzplitej, czy kto z jej postanowień będzie nie kontent?
Szlachta miała prawo wyłączyć Kondeusza, jak obrać na
tron prostego szlachcica; zatem poseł francuski przywłasz-
czał już sobie rodzaj dyktatury, jak wszyscy ambasadoro-
wie Ludwika XIV-go, który zaczął pokazywać swoje pazu-
ry. Mimo to jednak, kiedy stanął przed posłem Marcin Obor-
ski starosta liwski, który mu ze zlecenia stanów miał to-
warzyć za okopy, rozdąsany Francuz odpowiedział: «że
Francja we sto lat nie zapomni afrontu swego Polakom.»
Dla tego szlachta napisała na niego manifest.

Właśnie w pierwszy dzień zielonych świątek nadjechał
do Warszawy książę Dymitr Wiśniowiecki hetman pol. kor.
wojewoda bełzki. Był to wjazd świetny, hetmański, zapo-
wiednia podniesienia się do tronu człowieka, o którym
myślał dotąd jeden książę Olszowski biskup chełmski. Książę

że hetman wjeżdżał wspaniale w licznej asystencji dworzan
i wojska, którego prowadził z sobą szesnaście chorągwi.
Masa panów i szlachta spotykali go za miastem. Książę
jechał prosto do prymasa, wysłuchał mszy świętej i śnia-
dał z panami. Szlachta mówiła tylko o wjeździe księcia
hetmana i o gniewach posła francuskiego, kiedy w nocy z
niedzieli na poniedziałek, ciężka klęska spadła na miasto.
O godzinie 10-ej zawołano: «gore!» ledwie ludzie z pierw-
szego snu pobudzili się i wybiegli na miasto, już srogi o-
gień w kłębach płomieni i dymu, przelewał się w powie-
trzu warstwami; paliła się ulica piekarska od czerwonej
baszty, i piwna, a potem wiatr lunął na Krzywe koło sto-
sami ognia. Pożar był tak nagły i gwałtowny, że ludzie
ratowali się z życiem, a zostawiali na łup żywiołu rzeczy
swoje i dobytek. Pośród ogólnego przestachu, ktoś ze
złych ludzi dał hasło do rabunku, złodzieje więc i ludzie
bez zatrudnienia, jedni udając że ratują, drudzy prosto
myśląc o sobie, rozdzielali majątek biednych mieszczan, od-
bijali sklepy i zabierali wszystko. Wygorzało na samej u-
licy Piekarskiej ze sto domów, a co kamienic, a co szkody
ludzkiej, kto wyliczy? Na Piwnej aż po kościół Ś. Marcina
wszędzie rozwaliny, gruz, stosy cegieł niedopalonych. A
było to na dni dziesięć przed elekcją.

Po świętach ciągnęły się na nowo posłuchania. Jedne-
go dnia Owrebek poseł hrabiego nadburzkiego przemawiał za księ-
ciem neuburskim, drugiego zaraz nadjechał i sam poseł
tego pretendenta, który za wiele liczył na dawne związki
swoje z rodziną Wazów.—Poseł ten nie podobał się szla-
chie; gawędzili Niemcy po łacinie ale z germańską, co szla-
chcie również się nie podobało, tylko jeszcze pan kanclerz
i książęta Radziwiłłowie, którzy na tron prowadzili neubur-
ga, zachowywali dla posła względy, ale szlachta milczała.
Miał zaraz po neuburgu nadjechać poseł lotaryngski, mło-
dy, świetny i zalotny, ale chciał się pokazać z całą wysta-
wnością, hrabia de Chavagnac długo marudził, a tym cza-
sem Rzplita słuchała posłów kurlandzkich, tatarskich i słu-
chała listów króla angielskiego, który się oświadczył za
neuburgiem. O siódmej wieczorem nadjechali lotaryngczy-
kowie, Chavagnac z opatem i w istocie zaimponowali szla-
chcie; nadjechali strojno, dostatnie, na pięknych dżanetach,
deki srebrem i złotem wyszywane, asystencja wspaniała, i
liczna. Neuburg przed lotaryngczykiem, zginał jak klecha
przed organistą. Trzeba też wiedzieć, że hr. Chavagnac
znalazł wiele poparcia u pięknych niewiast polskich, które
wtedy już w Rzeczypospolitej przeważną odgrywały rolę i
od czasu Marji Ludwiki, zaczęły się czynnie płatać do in-
tryg elekcyjnych. Kobiety więc w Warszawie w pewnym
ogrodzie ukryły hr. Chavagnaca, żeby się mógł swobodnie
przypatrzeć wjazdowi posłów neuburskich. Młody Francu-
zik hojny i salonowy, potrafiłby i tak urządzić swój wjazd
wspanialej od oszczędnego Niemca, ale miał i tę przyjem-
ność, że zawczasu mógł przeglądać swój tryumf, w ogro-

dzie na przedmieściu krakowskiem. Oczarowali też i mową swoją w kole szlachtę lotaryngczykowie. Pan ich był w tej chwili może najbliższym korony, nie miał już wtedy żadnego przeciwnika, bo za co mógł liczyć neuburga? Najznakomitsi panowie przeszli pod jego chorągwie, tylko pan Sobieski, a raczej sama pani hetmanowa była jeszcze nieugięta. Chavagnac znalazł też na nią sposób, i ujmował ją zawczasu podarunkami; jeździł on kilka razy do pani Sobieskiej do pałacu Kazimierowskiego; wprowadził może żądania jej były zaprzesadzone, ale Chavagnac umiał się pięknie wymijać pomiędzy Scyllą i Charybdą i szło mu wszystko jak po maśle.

13. czerwca był dzień świętego Antoniego we czwartek, to jest ostatni dzień sejmku elekcyjnego podług prawa. Wypadło z konieczności żeby przedłużyć sejm, ale jak zawsze tak i teraz, znaleźli się mowcy co nastawali, a drudzy co wniosku bronili. Stało wreszcie na tem, żeby prosić senatu o radę co zrobić; nie chcieli starsi bracia zejść do koła i obiecywali tylko, że na wszystko się zgodzą, co postanowi stan rycerski, ale wreszcie drugi raz zaproszeni nadeszli. Za zgodą więc zobopólną głosowały województwa i powiaty na przedłużenie sejmku, dwa dni zostawiono na załatwienie exorbitancji, a od poniedziałku miały się zbierać głosy na elekcję króla; we środę najpóźniej miała stanąć ostatecznie elekcja. Tak więc na tydzień cały przedłużono obrady. (D. c. n.)

Z życia Sułtana Abdul-Medszyda.

Znany w literaturze angielskiej duchowny Henry Christmas, który niedawno wydał życiorys Cesarza Mikołaja, wystąpił teraz z dziełem: *The Sultan of Turkey, Abdul Medjid Khan; a Brief Memoir of his Life and Reign*. Charakteryzuje on w tem dziele młodego Sułtana wedle własnych spostrzeżeń, i podaje wiele bardzo ciekawych szczegółów.

Co do powierzchowności Sułtana, jest on wzrostu średniego, włos, brodę i wąsy ma krucze. Lice jego blade, przebija się w niem głęboka melancholia. W jego oku dużem, ciemnem, posępnem odbija się dobre serce, głos jego bardzo przyjemny i dźwięczny. Gdyby który profesor filozofii moralnej chciał dowodzić prawdę teorii, że władza nieograniczona do szczęśliwości człowieka bardzo mało się przyczynia, niech tylko wskaże na fizjognomię tego, z gruntu serca dobrego i bardzo zajmującego monarchy.

Wychowanie bardzo zaniedbane nie dało rozwinąć się i dojrzeć wrodzonym zdolnościom Abdul-Medszyda. Ojciec jego sam czuł bardzo brak wykształcenia umiętnego, chciał więc przynajmniej syna wykształcić; i powołał więc Francuza, bardzo zdolnego i rozległych wiadomości człowieka, na ochmistrza dla następcy tronu. Musiano jednakowoż w tym względzie zaradzić się Wielkiego Muftego, który cały

plan ojca zniweczył. Według woli Mahmuda miał Francuz zamieszkiwać pokoje swego wychowanka, i mieć nadzór nie tylko nad naukami ale i zabawami jego. I bez wątplenia byłby Abdul-Medszyd nie tylko krzepkości ciała nabył, ale postępami w naukach sobie i nauczycielowi zaszczyt zrobił. Ale Wielki Mufty, zapytany o radę, wydał fetwa, w którym oświadcza, że książę potomek proroka, powołany na tron Kalifów, wedle koranu nie może być przez Giaura wychowany.

Pozbawiony więc nauk teoretycznych musiał następca tronu uczyć się doświadczeniem, co nieraz większe przynosi korzyści, i szlachetniejszy umysł wykształci, niż szkoła. Matka jego, chociaż niewolnica, była kobietą bardzo rozumną, i za jej poradą, skoro po śmierci Mahmuda, z Haremu wypuszczony, wstąpił na tron Kalifów, otoczył się mężami światłymi, zakładał szkoły, instytuty miłosierdzia, i podnosił fabryki. Wymawiano mu brak stałego charakteru, ale to się tylko może prawdopodobnem wydać, porównyując go z żelazną ręką i gwałtownymi przedsiębiorstwami ojca jego. Może Abdul-Medszyd nie miał tej barbarzyńskiej energii, którą ojciec jego Jańczarów wytepił, ale i sam Mahmud mógł być się poszczycić stanowczością syna w roku 1849 i następnych latach. Abdul-Medszyd rozwija zamysły ojca swego, tylko nie tak gwałtownie i dziko. Przytaczamy tutaj następującą anegdotę.

«Nieopodal za murami Carogrodu stoi budynek, przeznaczony na koszary, a obok niego darowało ministerium Francuzom plac na kościół. Taka darowizna była czemś niesłychanem, podniosło się na przeciw niej bardzo wiele głosów fanatycznych, lecz bez skutku. Ale gdy na tym nowym kościele i dzwonnicy wznosić poczęto, udała się deputacja synów proroka do Reszyda baszy z przedstawieniem, jak nieprzyjemne wrażenie robi dźwięk dzwonu na ich pobożnych umysłach. «Moi panowie! odpowiedział Wezyr, kiedy miał ten zaszczyt, zastępować Sułtana w Paryżu, przebywało w owej ogromnej stolicy Franków wielu prawowiernych poddanych jego. Prosiłem więc króla Franków o pozwolenie wystawienia moszei, ale długi czas mijał bez odpowiedzi. Ja tymczasem przedkładałem różne plany i wymiary, i nakoniec pozwoliłem sobie, przez p. Guizota powtórzyć królowi dawniejszą prośbę moją. Odpowiedziano mi, że król o niej nie zapomniał, i że wkrótce sam mi to oświadczy. Upłynęło znowu 14 dni, a nakoniec zaprowadził mnie p. Guizot na plac, pięknie położony, na którym stało już wiązanie budynku wedle zarysu odemnie podanego, a wszystko to oraz z placem darował król Franków naszemu Padyszachowi. Już tylko szczegóły wykończyć potrzebowaliśmy. Zdaje mi się więc, moi panowie, iż uznacie to za słusność i powinność moją, darować Francuzom plac na kościół.»

Słowem, we wszystkich względach okazuje teraz Wysoka Porta wielką tolerancję, chociaż odszczepieństwo od

wiary „jedynie prawdziwej” śmiercią karane bywa. Pan Christmas następującą tu podaje anegdotę:

»Niedaleko Belbeku, pięknej wioski nad Bosforem, mieszkał na wiosnę roku 1850 kupiec Ormianin, który znaczny zebrał majątek i w gromadzie swojej wielki wpływ wywierał. Kupczył on towarami, które mało placu zajmowały jako to: drogiemi kamieniami, różowym olejkiem, pachnidłami, haftami, szalami kaszemirskimi i t. p. i temi rzeczami pod on czas miał cały dom zapełniony. Kazania misyonarzy takie na nim wrażenie zrobiły, że odszczylił się od kościoła ormiańskiego i przeszedł na protestanta. Księża ormiańscy użyli namowy, pochlebstw, wszystkiego co tylko mogli, nakoniec grózb i prośb, aby go nawrócić, ale wszystkie usiłowania nadaremne były. Udano się więc do patriarchy ormiańskiego, który tych samych sposobów, ale z równym skutkiem użył. Sprzykrzyła się mu nakoniec praca daremna, wyklął więc kupca. W kilka dni potem zebrał się niepohamowany tłum Greków i Ormianów, uzbrojony wszelkimi narzędziami do zburzenia, przed domem wyklętego, rozpedził rodzinę jego przelekłą, zburzył dom do gruntu, a domowe sprzęty i towary zrzucano na kupę i zapalono wśród powszechnej radości.

Nieszczęśliwy udał się do Wielkiego Wezyra, skarżąc się na zburzenie majątku swego, i błagając sprawiedliwości. »Niewiem istotnie, odpowiedział Wezyr, jak mam sobie tu postąpić. Jeśli ja w to wejde, to będzie to zawsze tylko wmieszanie się pozasądowe, i tylko dam okazy, sarkać na mnie tym, którzy wszelkim reformom są przeciwni. Starowierni Turcy już i tak mię nazywają Diaul (diabeł) Basza, cóżby powiedzieli dowiedziawszy się o wmieszanu mojem w sprawy chrześcian.« Ale namyślał się jeszcze chwilę i jakby mu nowa jaka myśl przyszła, dodał:

— Przyjdź jutro rano, i choć ja ci nie nie pomogę, to cię zaprowadzę do takiego, który na to poradzi.

Nazajutrz rano stawił się Ormianin, prowadzono go, aż nareszcie stanął przed Sułtanem. Strach przejął kupca. Poprzedni dzień użył minister na sprawdzenie i dokładne poszukiwanie w tej sprawie, i podał sprawozdanie Sułtanowi, który jak Harun Al Raszyd sam się zajął jej rozstrzygnięciem. Upadł Ormianin na twarz, jakając się wynurzył swoją rozkosz z widzenia brata słońca i księżyca, ale Sułtan zimnie wysłuchawszy całą ceremonię wziął się zaraz do rzeczy.

— Donoszą mi, że Ormianie Belbeku i okolicy dom ci zburzyli, i i majątek spalili. To źle, bardzo źle, ale powiedzno mi, dla czego oni ci to uczynili, bo przecie nikt bez przyczyny cudzego domu nie zwali. Jaką zbrodnię popełniłeś?

— Racz Wasza Wysokość mi wierzyć, odpowiedział nieco upamiętawszy się kupiec, ja zbrodni żadnej nie popełniłem, opuściłem tylko ich wiarę.

— To źle, opuszczać wiarę, rzekł na to Sułtan, ale o której wierze tu mowa?

— Opuściłem tę wiarę, która mi każe zginać kolano przed Panagią i świętymi.

— Jeden jest tylko Bóg, a Mahomet jego prorokiem.

Kupiec na te słowa pokornie i głęboko skłonił głowę, a Sułtan począł się wypytwać o szczegóły, a gdy zobaczył, że opowiadanie kupca zupełnie się zgadzało z doniesieniem ministra, kazał mu odejść i posłał patriarsze rozkaz, aby się nazajutrz o tej samej godzinie stawił w Bessiktasz. (D.n.)

Rozmaitość.

* **Nowy rossyjski wynalazek wojowania.** Times opisuje scenę, przy której sławny półkownik Iskender Bej ważną rolę odgrywa. Iskender Bej właśnie rekognoskował okolice Słobozyi, bystrem okiem swoim dojrzał w oddali posterunek rossyjski, i umyślił go znieść. Podjeżdża z swoimi 5. żołnierzami, ale gdy już coraz więcej się zbliżali, zrobiono go uważnym, że za szyldwachem stoi jeszcze kilku Rossyan, więc mógłby może być otoczony i pojmany. Ale Iskender na to nie zważał, i podsuwał się coraz bliżej. Nagle powiał silny wiatr, a czata rossyjska poczęła robić ewolucje, o jakich w żadnym regulaminie musztry nie czytało... Dziwne te manewry zastanowiły go na chwilę, ale wnet puścił się cwałem naprzód, jak to zwykle robił, i aż zamachając szablą postrzegł, że stoi przed nim dwadzieścia kapot rossyjskich i kask, wypchanych zgrabnie słomą, wbitych na pale i kołyszących się za lada silniejszym wiatru powiewem. Bez pardonu ich wytepił, i jednego tylko na pokaz przyniesiono do obozu, którego widok nawet tak poważnych Turków do śmiechu poruszył.

* **Sprzeczek uczonych i zdanie węglarzy.** Dzienniki angielskie donoszą o szczególnej sprzeczce, którą nowo wynaleziony pokład węgla kamiennych między badaczami przyrody w północnej Anglii wywołał. Przy procesie o pokłady węglane w Boghead czyli Torbanehill zawezwano dwunastu uczonych, aby dali swoje zdanie, jest-li znaleziony tam minerał węglem albo nie? Rezultat był następujący: Czterech uczonych uznało go za rudę ognistą, „actual bitumen“ a nie za węgiel. Trzech utrzymało, że nie jest rudą ognistą, ani też węglem. Trzech zapewniało, iż to jest łupek ilasty „shale“, ale najpochytlwszy do zapalenia, jaki kiedy widzieli. Ostatnich dwóch oświadczyło, iż łupek ilasty tak się palić nie może ani ruda ognista, a więc ten minerał musi być koniecznie węglem kamiennym. Jeden z owych trzech, trzymających go za łupek ilasty, twierdził, że potrafi sam taki minerał produkować, byleby dostał odpowiednią siłą ciśnącą. To coś niby wychodziło na Archimedesu ruszenie ziemi. Dziwna! owi dwaj ostatni zdaje się utrzymują się przy swoim zdaniu, poparci powagą wcale nie uczonych. O pół mili bowiem od Torbanehill wynaleziono tymczasem taki sam pokład minerału, który od tamtejszych kucharek i węglarzy od razu był za kamienny węgiel uznany, a miał na sobie te same charakterystyczne znamiona minerału z Torbanehill. Tu zdaje się całkiem słusznie zdanie węglarzy i kucharek nad zdaniami uczonych badaczy przyrody zwycięstwo odniosło.

Przyjechali od dnia 25. do 27. sierpnia do Lwowa:

PP. Romaszkan Piotr, z Laszek. Czermiński Julian, z Mieczy-szczowa.

PP. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic. Kawecki Wiktor, z Beniawca. Wierchlejski Franciszek, z Przemyśla. Malczewski Stani-

